

Karkołomny skok z wodospadu gdzieś na Morzu Karaibskim: Zaczynam odkrywać świat

Koniec studiów to moment dość stresujący dla młodego człowieka. Świadomość zbliżającej się wielkimi krokami zmiany budzi niepokój, ciekawość. Już niedługo koniec sielanki, beztroskich nocy spędzonych w studenckim barze, w pokoju ciecica w akademiku przy brydżu i ciepłej wódce, kupionej gdzieś w słubickiej melinie (całodobowe delikatesy były zbyt daleko od akademika). Praca nie będzie już zabawą, aktywnością uprawianą na zasadzie dobrowolności, nie będzie już beztroskim zajęciem przynoszącym dodatkowy dochód obok stypendium.

Student-pracownik

Praca jest niezwykle ważnym doświadczeniem podczas studiów. Przypominam sobie, gdy w lutym 1994 r., na pierwszym roku studiów przy minus 14 stopniach Celsjusza dymałem przez most graniczny we Frankfurcie nad Odrą, by na 6.30 zdążyć na przystanek autobusowy przed makdonaldem. Stamtąd zabierał mnie szef budowy na działkę położoną gdzieś w „enerdowie”. Dymałem codziennie do upadłego do 21.00. Za trzy dni pracy zostało mi w kieszeni 800 marek. – kilkumiesięczne zarobki moich rodziców! Gdy dobrze zarabiasz, nie odczuwasz tak dotkliwie niedogodności i upokorzeń w pracy! Potem była praca na budowie nieopodal centrum miasta. Po pracy biegłem w robotniczych ciuchach na uniwersytet, ponieważ o 17.15 rozpoczynały się obowiązkowe ćwiczenia z prawa karnego. Przebierałem się w uniwersyteckiej toalecie i wyczerpany pracą wegetowałem na wykładzie gdzieś w ostatniej ławce. Na budowie zobaczyłem z bliska robotników. Zobaczyłem jak ciężko pracują, jak brudna praca wywiera na nich wpływ, jak ich wulgaryzuje, wyniszcza. Niezdrowe odżywianie (wursty z aldiego), alkohol, wieczorami pornole w domu i raz w tygodniu po wypłacie wypad z kolegami do słubickiego burdelu. To jest całe życie enerdownca pracującego na budowie. Codziennie od 7 rano zaciskałem

zęby z zimna, puszczałem bez komentarzy serwowane mi przez roboli dowcipy o leniwych studentach i złodziejach z Polski. Obiecywałem sobie, że będę się tak długo uczył, by nigdy już na budowę nie wrócić. Kilka tygodni później znalazłem pracę w szparkasie (lokalny bank) we Frankfurcie nad Odrą. Wraz z innymi studentami z Polski mieliśmy sortować dane klientów banku (wyciąganie dokumentów z poukładanych alfabetycznie teczek i wkładanie ich do teczek poukładanych wg numerów kont). Była wiosna, rankiem meldowaliśmy się u kierowniczkę oddziału banku, podpisywaliśmy listę obecności, wędrowaliśmy na pierwsze piętro, by przywitać się z niemieckimi koleżankami (wyjątkowo brzydkie gimnazjalistki) i rozpocząć żmudną pracę. Młody człowiek, który nie jest zmuszony pracować, traktuje pracę jak zabawę. Tak było i u nas. Nie brakowało niepoważnych konkursów, „kto najmniej zrobi w ciągu dnia”, „kto nic nie zrobi przez tydzień”, były chore szczeniackie postulaty „sabotażu i demontażu Czwartej Rzeszy”. Niemieckie gimnazjalistki nauczyły się od nas pieczenia pizzy oraz załatwiania prywatnych spraw czasie pracy. Ktoś mądry powiedział kiedyś, że wszystkie złe zachowania i czyny, wrócą do nas. I teraz, gdy prowadzę biuro prawne, podatkowe i księgowo mieszkam takich samych studentów, jak ja na pierwszym roku studiów. Nie należy liczyć na młodych ludzi, którzy się jeszcze uczą i praca nie jest ich głównym zajęciem. Oni korzystają z uciech życia, z niesamowitego i wyjątkowego czasu, z którego i ja korzystałem na pierwszym roku studiów. Po pracy wychodziliśmy z banku i jechaliśmy zdezelowanym samochodem kolegi nad małe jezioro. Bagażnik wypełniony był po brzegi tanim piwem, gadżetami na ognisko. Spaliśmy pod gołym niebem, by rano wrócić do pracy w banku. Zimą robiliśmy głupawe zakłady. Gdy skoczyłem z pierwszego piętra banku na ziemię i nie połamałem się, kolega przez cały rok mówił do mnie „Panie Boże”, co zwłaszcza na wykładach podczas dyskusji na uczelni śmiesznie brzmiało. Kiedy indziej musieliśmy z kolegą po przegranej zakładzie późną nocą nieść przez cały Frankfurt i Słubice oraz przez przejście graniczne, na wyścigi, ubrane w grube płaszcze nasze dwie dziewczyny. Żyjąc w małym środowisku studenckim świry wyróżniały się mocno i były widoczne. Pająka znali dobrze wszyscy ciecie w akademiku (po tym jak po pierwszym roku studiów waletowałem przez wakacje u kolegów na parterze i do akademika wchodziłem oknem), administracja domów studenckich (po tym jak kiedyś w lecie wyciąłem dla mojej dziewczyny sprzed akademika wszystkie 100 róż i po tym, gdy jako pierwszy student złożyłem w rektoracie wnioski o przydział pokoju dla pary studentów), straż graniczna (po tym jak przez pięć lat przekraczałem przejście graniczne rozklekotanym rowerem; - gdy tuż przed końcem studiów oddałem go portierowi za 40 złotych, został zatrzymany na granicy, albowiem pogranicznicy wiedzieli, że tym rowerem jeżdżę tylko ja).

Na miesiąc przed obroną pracy magisterskiej (zima 1999/2000) wybrałem się w pierwszą zamorską podróż w kierunku Morza Karaibskiego. Szliśmy małą grupką przed las, aż do momentu, gdy na końcu ścieżynki pojawił się wodospad. Przewodnik kazał się rozebrać do kąpielówek, zostawić rzeczy pod wodospadem. Wspinaczkę kontynuowaliśmy w wodzie. Wspinaliśmy się przez dwie godziny po małych wodospadach, aż osiągnęliśmy wysoki pagórek, z którego tryskała woda. Przeżyłem tam jedną z bardziej traumatycznych przygód w moim życiu: w dół zjeżdżałem w strumieniu lejącym środkiem wodospadu. Nie było odwrotu, mimo śmiertelnego strachu powodowanego otaczającą sceną tropikalnego lasu, świadomości braku jakiegokolwiek skutecznej pomocy w razie wypadku, nieznanymi czeluściami, w które przyszło mi się rzucać oraz przenikliwymi wrzaskami dochodzącymi z lasu, jakie towarzyszyły karkołomnym zjazdom i skokom do nieznanych niecek wypełnionych wodą. Człowiek ciekawie reaguje na nieznaną, na inne. Najpierw przychodzi paniczny strach. Potem gorączkowe szukanie wyjść alternatywnych. Gdy ich nie ma, rzucamy się w czelustę w dobrej wierze, że wszystko potoczy się dobrze. Na co dzień wystrzegamy się takich momentów. Piszę to z perspektywy prawie dziesięciu lat wypraw i pracy zawodowej. Wygodnie jest mieć wszystko pod kontrolą, wiedzieć, jak zakończy się zawodowy, czy prywatny skok w przepaść, w nieznaną. Gdy jednak taki moment następuje, muszę komuś zaufać. Nawet dopiero co poznanemu nastoletniemu chłopakowi, który prowadzi mnie w nieznaną. W takich momentach (i tylko w takich) przyznaję rację wszystkim tym wspinałym myślicielom, którzy namawiają do ufania drugiemu człowiekowi. Wszak nie mamy wtedy innego wyjścia. Było to moje pierwsze spotkanie z dżunglą, ze strachem przed nieznanym. Fascynujące spotkanie. Pierwsze i nie ostatnie.